

JULES CLARETIE.

Tajemniczy oskarżyciel.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

8 Ruszył więc dalej i, ciągle zastanawiając się głęboko nad niespodziewanem zajściem, doszedł do ulicy Condamine i stanął przed domem, noszącym numer 16. Kamienica ta była duża, o licznych piętrach i wyglądzie typowo mieszcz.ńskim.

W loży portyera nie zastał nikogo, przeczytał tylko napis, umieszczony na ćwiartce papieru: „Dozorca zamknięta schody”. Bernardet pospieszył więc na schody i odszukał go.

— Czy tu mieszka pan Karol Breton? — zapytał.

— Nikt takiego nazwiska nie mieszka w naszej kamienicy — brzmiała odpowiedź.

Napróżno Bernardet silił się, aby podać dozorcę mniej więcej dokładny opis człowieka, którego szukał. Na ulicy Condamine nie znano wcale pana tego nazwiska i wyglądu.

Bernardet zaklął w duszy. Zadrwiono z niego! Adres i nazwisko były fałszywie podane! Stało się to, czego się obawiał. Gdzież szukać teraz sprzedawcy portretu Jerzego Montina?

— Ten pan nosi szeroki hiszpański kapelusz filcowy — próbował jeszcze obudzić pamięć dozorcę.

— Powiadam panu, że na całej ulicy nie znajdzie pan nikogo, noszącego taki kapelusz. Znam doskonale każdego, bo jestem w tym domu od lat kilkunastu.

Bernardet nie mógł dalej nalegać. Pani Colard i on zostali oszukani. Na chwilę ogarnęło ajenta zniechęcenie, ale wkrótce pokonał to przygnębiające uczucie i postanowił czynić dalsze poszukiwania. Przecież nie takie trudności udało mu się przezwyciężyć! Od czego spryt i wytrwałość, a przytem Bernardet, jak wszyscy optymiści, liczył na szczęście swoje, które już w niejednym wypadku wypróbował.

Wyszedłszy z ulicy Condamine, Bernardet wszedł do omnibusu z zamiarem udania się do pana Leriche. Został przyjęty natychmiast.

— Czego chcesz Bernardet? — zapytał życzliwie pan Leriche. — Czy przynosisz mi jaką dobrą wiadomość?

— Zdaje mi się, że nie zła! — odpowiedział agent.

Odwinął portret i podsunął go pod oczy zwierchnika.

— Ależ to Jerzy Montin! — zawołał tenże zdumiony.

— Nieprawdaż? — odparł uradowany Bernardet.

— Bez najmniejszej wątpliwości! To on! Montin! Tylko młodszy trochę. I gdzieś to wynalazł, Bernardet? Skąd do tego przyszedłeś?

Bernardet w krótkich słowach opowiedział, jakim sposobem stał się właścicielem obrazu i rozmowę swoją z panią Colard.

— No i co dalej? Przypuszczam, że musiałeś pójść zaraz pod adres wskazany.

— Poszedłem.

— I co?

— I nic, panie szefie! Tego draba tam niema i nigdy nie było!

— Co ty mówisz? Ale w każdym razie zrobiłeś ciekawe odkrycie. Bernardet. Ten człowiek nie jest pewnym siebie, jeźli ukrywa swoje nazwisko, a posługuje się fałszywem. Trzeba go odszukać i to prędko, a przede wszystkim zawiadomić pana Ginory'ego.

— Idę zaraz do niego!

— Tak jest! Mam wrażenie, mój stary, że jeżeli uda nam się odkryć tego fałszywego Karola Breton, to całą sprawę trzymamy już w ręce.

Pan Ginory również uderzony został silnem podobieństwem Jerzego Montina do portretu. Chciał natychmiast zapytać się Montina, czy nie wie, jak portret jego dostał się do rąk Karola Breton i czy nie zna go osobiście.

Pan Leriche i Bernardet mieli mu towarzyszyć do więzienia. Bernardet kazał więc wózemu przywołać dorożkę do której wszyscy trzej wsiedli i udali się do Mazas.

Po kilku minutach stanęli przed ponurym i szarym budynkiem więzienia. Stary dozorca, zdaleka rozpoznawszy przybywających, pospieszenie otworzył im żelazną bramę i wpuścił do środka.

Uderzył ich zapach płkni i wilgoci.

— Brr! — otrząsnął się pan Ginory. — Nie chciałbym tu zamieszkać choć na dzień jeden!

Dozorca zaprowadził urzędników do niewielkiego gabinetu, umeblowanego z wielką prostotą i czyniącego przygnębiające wrażenie.

Bernardet stanął przy drzwiach, z portretem w ręku, gorączkowo wyczekując pojawienia się oskarżonego.

— Proszę mi przyprowadzić Jerzego Montin — rozkazał pan Ginory, siadając przed stołem.

Pan Leriche usiadł obok niego, naprzeciw jednemu, wąskiego okienka, które przepuszczało blade i nikłe światło. Oczekiwanie nie trwało długo.

Rozległy się ciężkie kroki na korytarzu i Jerzy Montin ukazał się w otoczeniu dwóch dozorców.

Był bardzo blade, ale twarz jego zachowała jeszcze dumny i wyzywający wyraz.

Sędzia przywitał go lekkim skinieniem głowy. Montin odpowiedział ukłonem pozbawionym wszelkiej pokory i uniżoności. Powiódł spojrzeniem po pokoju i oczy jego zatrzymały się dłużej na postaci Bernardeta, wpatrzonego w niego uporczywie.

— Proszę siąść, Montin! — rzekł łagodnie pan Ginory.

— Dziękuję. — odparł zimno oskarżony — Przypuszczam, że rozmowa nasza nie będzie zbyt długą.

— Może pan będzie mi mógł wytłumaczyć pochodzenie tego portretu? — zapytał sędzia — Czy poznaje go pan?

Mówiąc to, podsunął szybko obraz pod oczy oskarżonego, chcąc podchwycić pierwsze wywołane wrażenie.

Ujrawszy portret, Jerzy Montin zadrzał silnie i cofnął się zdumiony.

— Ależ to portret mój, który dałem mojemu przyjacielowi, Roverowi — wyrzekł cichym głosem.

— Ah! — szepnął pan Ginory — Więc go pan poznaje? Co? Poznaje go pan?

— To jest mój własny portret! — odparł bez namysłu oskarżony.

— Może nam pan coś więcej o tem powiedzieć?

— Ten portret dawno był już wykonany. Dałem go jako pamiątkę Roverowi, który go umieścił w swoim salonie. Jakim sposobem dostał się do rąk pana?

— Ah! Mój panie! Właśnie o to samo chciałem się pana zapytać.

— Maie?

— No, oczywiście. Tylko pan jeden wiedzieć może, co się stało z portretem, wiszącym w salonie pana Rovere.

Głos pana Ginory'ego ironiczny był i złośliwy.

Zauważył to Montin i brwi ściągnęły mu się gniewnie.

— Panie sędzio! — rzekł stłumionym głosem — Nie mam panu nic do powiedzenia w tym względzie. Nic nie rozumiem i nic nie wiem. Przepraszam, wiem tylko jedno...

— No przecież — mruknął pan Ginory — zdecydował się pan mówić.

— Wiem tylko jedno — powtórzył Jerzy Montin, nie zwracając uwagi na ironiczną uwagę sędziego — że kiedyś gorzko pożałuje pan swojej pomyłki.

— Pomyłki? Cóż to ma znaczyć?

— W zaślepieniu swoim oskarżył mnie pan i kazał zamknąć w tem więzieniu.

— Panie Montin, proszę uważać na swoje słowa.

— Nie może mi pan zabronić mówić tego, co myślę. Już więcej złego, jak dotąd, uczynić mi pan nie może. Użył pan prawa i kazał zamknąć tu w Mazas, w więzieniu, na równi z mordercami najgorszego gatunku, ale musi pan wiedzieć, że nie gram żadnej roli w morderstwie mojego przyjaciela i protestuję najgoręcej przeciw bezprawnemu oskarżeniu pana.

— No, tak! Protestować pan może! — odparł zimno pan Ginory — Rozumiem, że to musi być bardzo przykre dla człowieka z lepszej sfery towarzyskiej, znaleźć się w czterech ścianach ciemnego więzienia. Ale w takim razie dlaczegoż nie usiłuje się pan z niego wydostać?

— Jakim sposobem?

— Mówiąc prawdę. Dając wyjaśnienia, których od pana wymagają i które otworzyć panu mogą drzwi tego więzienia. Czy pan dalej trwać zamierza przy swoim śmiesznym systemie? Czy nie wyjawi pan nigdy tajemnicy, o którą nam chodzi? Czy zawsze dla siebie tylko zachować ją pan zechce?

— Tak jest, panie sędzio, zachowam ją dla siebie. Miałem czas tu, w więzieniu, zastanowić się nad dalszem swoim postępowaniem. Cela więzienna podatna jest miejscem dla uczynienia rachunku sumienia. Życie całkiem inaczej tu się przedstawia. Rachunek sumienia ten uczyniłem z całym spokojem i rozważą i postanowiłem milczeć do końca!

Jerzy Montin mówił z wielką stanowczością, nie unosząc się gniewem, jak to czynił przedtem, nie

mieszając się wcale pod badawczym wzrokiem sędziego i Bernardeta.

— Upartym pan jest — zauważył ironicznie pan Ginory.

— Jestem przekonany — ciągnął dalej oskarżony — że to okropne *qui pro quo* nie potrwa długo, a kiedy panowie poznacie prawdę, wyjdę stąd, nie zdradziwszy przynajmniej zaufania, jakie we mnie położono i przysięgi, danej dobrowolnie przyjacielowi. Niemożliwe jest, aby ta pomyłka trwała dalej i aby doprowadziła do wydania wyroku na mnie. Nie waham się wcale, jak pan widzi, panie sędzio, i wolę odcierpieć to przymusowe więzienie, niż narazić na niebezpieczeństwo osobę trzecią. Czekać będę, aż się rzecz sama przez się wyjaśni. Czy i teraz trwać pan będzie w przekonaniu, że trzymam się uplanowanego systemu?

— Tak jest! — odparł pan Ginory — Powiedziałem: to jest system pana. Nie chce go pan zaniechać! Dobrze! Nie mówmy już o tem. Proszę mi teraz powiedzieć, czyj to portret?

— Mój własny.

— Czy nie wie pan, przez kogo był odsprzedany handlarce starych rzeczy, u której go znalezione?

— Nie wiem! Prawdopodobnie przez tego, który go skradł z mieszkania Rovera i który jest może, a nawet z pewnością jego mordercą.

— Wydaje się to panu naturalnem?

— Przedewszystkiem wydaje mi się logicznem.

— Przypuśćmy, że się pan nie myli, jednakże przypuszczenie to nie obala podejrzeń, jakie rzuciła na pana pani Moniche, dozorkczyni domu z bulwaru Clichy.

— Oh! Tak! Tak! Wiem o tem. Kasa otwarta, rozrzucone papiery, obecność moja o późnej godzinie u Rovera. To są zeznania tej pani!

— Jednak nie może pan zaprzeczyć, aby były nieprawdziwe?

— Owszem, są prawdziwe, ale nic nie znaczące.

— Dla pana może. Dla sądu jednak mogą mieć decydujące znaczenie. Ale powróćmy do tego portretu. Utrzymuje pan, żeś go sam ofiarował panu Rovere?

— Tak jest! Mój przyjaciel był wielkim wielbicielem sztuki, a poza tem najbliższym mi człowiekiem na świecie. Nie posiadam rodziny, prowadzę życie odosobnione, jako stary kawaler i przyjemnem mi było, że ktoś zachowa o mnie dobre wspomnienie. Pozatem obraz ten, jako rzecz sztuki, ma wielką wartość. Wykonany jest przez Pawła Baudry.

— Ah! — rzekł Ginory — Prawda! Jest na nim Podpis P. B. To Paweł Baudry?

— Tak jest! Spotkałem się z nim w Bordeaux i zaprzyjaźniłem. Zaproponował mi sam zrobienie mojego portretu. Przyjąłem z wdzięcznością i portret dałem Roverowi.

Pan Ginory podiał leżący na stole obraz i włożywszy binokle, przyglądał mu się z uwagą.

— Co znaczą te skazy na płótnie? — zapytał — To tak wygląda, jakgdyby ktoś wyrwał stąd gwoździe.

— Nie wiem — odparł Montin, przypatrując się obojętnie obrazowi — To zapewne być musi odcisk od odjętych ram.

— Oh! Nie, nie! — zaprzeczył żywo pan Ginory — To są dziury, wyrwane w płótnie. Jestem tego pewny. Ramy musiały być gwałtownie zdarte. Pan powinien wiedzieć, przypuszczam, jak ten portret był oprawiony?

— W bardzo prosty sposób. Przynajmniej tak był, kiedy go ofiarowałem panu Rovere.

— A Rovere nie zamienił tych ram na inne?

— Owszem. Przypominam sobie, że oprawił portret w złoczone ramy, wysadzone meksykańskimi kamieniami, które niegdyś przywiózł ze sobą z Ameryki.

— Czy przypuszcza pan, że Rovere mógł ten obraz odstąpić dobrowolnie komu?

— Watpię bardzo. Zależało mu bardzo na tym portrecie. Wisiał zawsze w jego salonie.

— Czy Rovere przykładął wartość do niego, dlatego, że był pendzla Baudry'ego, czy też dlatego, że pochodził od pana?

Jerzy Montin uśmiechnął się pogardliwie.

— Rovere kochał mnie, jak brata — odpowiedział z pewną dumą.

— A więc pan nie może mi dać żadnych informacji o człowieku, który odsprzedał ten obraz właścicielce sklepu w halach?

— Nie, nie mogę dać panu żadnych wyjaśnień w tym względzie.

— Skonfronujemy pana z tą osobą.

— Dobrze! To będzie jednak bezskuteczne. Ta kobieta mnie nie zna.

— W każdym razie, powie nam raz jeszcze, jak wyglądał człowiek od którego ten portret nabyła.